

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnośnieniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedynczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO” wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji **Żórawia 29 m. 2. Tel. 116-67.**

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. **REKLAMY** po tekście kop. 30 za wiersz petitu. **NADESŁANE** na 1 stronie przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Jeszcze w sprawie Żydowskiej.
Na widnokregu politycznym.
Król-Duch jako syn druidów.
Pogrzeb Rajchmana.

Krytyka i Sprawozdania.

Z teatru.

Przyroda i człowiek w Azji Środkowej.

List do Redakcji.

Dodatek: J. Wł. Dawid. Inteligencja, Wola i Zdolność do pracy (ark. 52).

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o terminie nadsyłania przedpłaty na kwartał IV-y.

JESZCZE W SPRAWIE ŻYDOWSKIEJ.

Zdarza się dość często, że lewica głośnie w jednej kwestji z prawicą; wówczas ta ostatnia czyni z tego dla siebie hałaśliwą reklamę i nieproszona dowodzi, że radykali bywają czasem istotnymi patriotami, że i oni zajmują niekiedy „prawdziwie obywatelskie stanowisko”. Charakterystyczne jednak jest to, że zwykle w takich razach jedynie reakcyjniści podkreślają patriotyzm radykałów, nigdy zaś odwrotnie. Obecnie da się to samo powiedzieć o publicystach z *Dnia*. Dopatryli się oni w naszych artykułach „sympatycznego objawu, że w chwilach wynikających niebezpieczeństw dla narodu” uważamy za stosowne „stanać ramię przy ramieniu, by odeprzeć wspólnie grożący atak”. Taki wyraz uznania i taka gotowość podania nam ramienia mogłaby nas nieco zaniepokoić jedynie w tym wypadku, gdybyśmy w porę nie określili czem są właściwie nasi nowi a tak już serdeczni przyjaciele. *Dzień* twierdzi, że jedynie dla formy „rzucaliśmy się nieco”; zapomina on jednak o tem, iż „dla formy” nikomu się nie dowodzi, że myśleć nie umie i że dlatego chwycić się jest zmuszony środków *demagogicznych*, nie licujących z powagą podjętej sprawy. „Dla formy” też nie ogłasza się publicystów z *Dnia* za samozwańczych obrońców „sprawy narodowej”, bijących jako „gorliwi patrioci” na alarm, by ostrzedz „zagrożoną ojczyznę”—przed wschodniemi niebezpieczeństwem.

Zgoła nie przeoczamy działalności sił obcych i przytem wybitnie nacjonalistycznych. Lecz na sprawę tę patrzemy naturalnie z innego stanowiska, niż referenci z *Dnia*. Krzewienie szowinizmu wśród ludności żydowskiej prowadzi do pogłębienia antagonizmów narodowościowych. Społeczeństwo polskie samo znajduje się w niesłychanie trudnych warunkach politycznych i coraz mozolniej walczyć musi o elementarne prawa rozwoju; nie może więc obojętnie patrzeć na rozrastające się w jego łonie obce, wrogo do niego odnoszące się żywioły. Lecz to nie znaczy bynajmniej, iż należy wzniecać wojnę domową, hodować nienawiść rasową. Krzewiąc *kulturę* polską wśród miejscowej ludności żydowskiej, zmniejszamy tem samem przepaść, dzielącą dwa społeczeństwa, usuwamy rażące różnice, istniejące między niemi, a co najważniejsza, sprzyjamy zbliżeniu się proletariatu polskiego z żydowskim na podstawie ich rzeczywistych wspólnych interesów. Nie należy zapominać, że nacjonalizm polski przedstawia sam przez się dość poważną siłę (zwłaszcza obecnie w okresie reakcji społecznej i politycznej), z którą żywioły radykalne prowadzić muszą bezwzględną i uporczywą walkę o panowanie w środowisku robotniczym. Zaś obcy nacjonalizm jest tem groźniejszy, że staje się drugą podstawą zachłannego nacjonalizmu rodzimego, rozwija się równoległe z nim i w jednakim stopniu utrudnia odrodzenie kraju.

Sprzyjanie rozrostowi nacjonalizmu polskiego jest równie szkodliwe jak nieprzeciwdziałanie nacjonalizmowi żydowskiemu. I właśnie *Dzień* wypełnia tę szkodliwą robotę. Przez lekkomyślne i nieumiejętne postawienie kwestji „litwackiej”, niezaprzeczenie wielce poważnej, referenci ci zagrali na strunach nie tyle patriotycznych i obywatelskich, ile szowinistycznych i niehumanitarnych — Szerząc ideję bojkotu ekonomicznego, (wymierzonego przeciw „litwakom”), *Dzień* jest tyle nieogłębny i krótkowidzący, że nie mógł się zorientować i zrozumieć, iż w naszych warunkach

środek ten nie da się zastosować w zamierzonych granicach. Od bojkotu „litwaków” przechodzi się do bojkotu całego ogółu żydowskiego. O tem świadczą listy i odezwy, drukowane na szpaltach *Dnia*; coraz częściej opuszcza się w nich dodatek „litwak” przy terminie „żyd”. W druku odróżnia się jeszcze i rozdziela te dwie rzeczy, zaś w czynie łączy się je i identyfikuje. Bojkot ekonomiczny zastosowany w tej sprawie zepchnął jego inicjatorów na grunt pochyły i ślizki, i obecnie toczą się oni bez zatrzymania i rątku w sferę niezamaskowanego nacjonalizmu, gdzie przyjęci zostaną z zapalem i uznaniem. Tymczasem walka z żywiołem „litwackim” toczyć się winna na innej płaszczyźnie i przy pomocy innych środków. Nie czyniąc wrzawy demagogicznej i nie z hasłem nienawiści rasowej na ustach, lecz w imię swych przyrodzonych i łatwo zrozumiałych praw należy wkroczyć w sferę działania „litwaków” i siłą wyższej kultury niszczyć u źródła wpływy antyspołeczne, obce i małokulturalne. Rzecz prosta że *Dzień* ani temu podołać, ani do tego przyczynić się nie może. Jest on typowym tworem reakcji; może więc tylko pośrednio czy bezpośrednio pracować dla niej, czynić zamęt w pojęciach, chaos w dążeniach i zadaniach, odrywając tym sposobem uwagę społeczną od podstawowej idei odrodzenia i demokratyzacji.

NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

KONGRES SOCJALNEJ DEMOKRACJI NIEMIECKIEJ.

Gdy socjaliści hołdując zasadzie bezwzględnej opozycji odmawiają współpracownictwa w przeprowadzeniu reform,—prasa burżuazyjna oblewa ich błotem, jako nieudolnych doktrynerów, fanatycznych burzycieli, zdolnych jedynie niszczyć, pozbawionych zdolności twórczych. Gdy zaś przeciwnie, stronnictwo socjalistyczne, jak np. we Francji lub Anglii przyczynia się pracą bezpośrednią lub głosowaniem do wprowadzenia w życie reform społecznych, burżuazja podnosi larum trwogi wobec grożącego społeczeństwom niebezpieczeństwa socjalistycznego.

Z tego powodu kongres socjalistyczny w Lipsku zaszczycony został wyjątkową uwagą świata politycznego. Bowiem stary spór pomiędzy rewizjonistami a nieprzejednanymi stanął tym razem przed kongresem w formie wyjątkowo ostrej, bo przyobleczonej w kształty aktualności. Chodziło o to, czy grupa parlamentarna winna była głosować za projektem prawa podatku od spadków czy przeciw projektowi.

Zresztą, niezależnie od porządku dziennego, kongres tegoroczny powinien był zwrócić na siebie powszechną uwagę. Socjaliści niemieccy w ostatnim roku niezmiernie wzmocnili się zarówno pod względem liczebnym, jak pod względem wpływu na bieg spraw społecznych i politycznych w kraju i nie ulega już dziś wątpliwości, że powołani oni są już w najbliższym czasie do odegrania roli wyjątkowo wybitnej w losach państwa niemieckiego.

Kwestją dominującą w polityce obecnej w Niemczech jest głośna reforma finansowa, która narzucający spóżywcom czterystomiljonowy ciężar podatków pośrednich, doprowadziła do rozłamu bloku

liberalno-konserwatywnego na punkcie podatku bezpośredniego od spadków. Liberalizm został w sprawie tej ostatecznie skompromitowany. Kompromis zawarty z obszarnikami wydał najgorsze owoce, bo uwydatnił zupełną nieudolność liberalizmu, który poświęcił w tym kompromisie wszystkie swoje zasady, nie otrzymawszy wzamian nic. To też wszystkie wybory cząstkowe, jakie odbyły się w ostatnim czasie wykazują raptowny i znaczny upadek liczbowy liberalizmu na korzyść stronnictwa socjalistycznego. Zdobywcze socjalizmu przekraczają najgorsze przewidywania partii burżuazyjnych i sięją trwogę w sferach rządzących.

Wszelako z drugiej strony, zburzenie dawnego bloku, które pchnęło liberalizm z konieczności na stronę opozycji wywołało ponowne i dawno już zapomniane w obozie socjalistycznym dyskusje na temat zbliżenia pomiędzy socjalizmem i liberalizmem. Rzecz prosta, nie ma tu mowy o jakimś stałym bloku opozycji—liberalizm niemiecki dał tyle dowodów niewyłączalności ideowej, że nie może reflektować na zaufanie socjalistów. Rewizjoniści domagają się wszakże taktyki parlamentarnej popierającej liberałów w ich walce z reakcją obszarniczą i centrum katolickim oraz kompromisów wyborczych z liberałami.

W ten sposób na gruncie kwestji głosowania nad reformą finansową rozwinęła się ogólna dyskusja nad taktyką. Należy z góry zaznaczyć, że tym razem warunki polityczne wyjątkowo sprzyjają rewizjonistom i jeśli wynik kongresu nie dał im całkowitego zadośćuczynienia, co jest zresztą zupełnie wykluczone i na przyszłość, to jednak wytyczna działania przesunęła się znacznie z lewa ku środkowi.

Zarówno sprawozdawca parlamentarny Ledebour, jak posłowie Stadthagen, Wagner, Hoch i Singer, tudzież teoretyk partji Kautsky wychodzili ze stanowiska nieprzejednania proletariatu wobec państwa militarystycznego. Program minimalny partji zawiera wprawdzie podatek bezpośredni od spadków, nie powiada wszakże aby dochód z tego podatku miał być oddany w ręce rządu militarystycznego. Partja zdobyła swoją potęgę dzięki nieprzejednanemu stanowisku wobec wszystkich stronnictw burżuazyjnych i nadal pójść powinna po tej drodze. Wszelkie głosowanie za jakimkolwiek podatkiem, który nieuniknienie przeznaczony jest na flotę i armję, zepchnie partję na stanowisko burżuazyjnego liberalizmu, straci ją ze stanowiska ideowego, na którym stała dotychczas i pozbawi ją zaufania klasy robotniczej.

Natomiast przywódca rewizjonistów Dawid usprawiedliwia grupę parlamentarną, która większością uchwaliła głosować za podatkiem. Podnosi on stary a słuszny argument, twierdząc, że albo się bierze udział w akcji parlamentarnej albo się parlament bojkotuje. Skoro się uprawia parlamentaryzm, należy potęgować znaczenie tej akcji przez udział w głosowaniach, przez pracę pozytywną, nie zaś głosować z zasady przeciwko wszelkim prawom, chociażby mającym znaczenie dodatnie, chociażby mogącym spowodować klęskę parlamentarną reakcji.

Dalej podniósł Dawid niemniej słuszny argument, że partja korzysta z głosów milionów wyborców, którzy hołdują jej programowi minimalnemu, nie może więc ona uchylać swym zobowiązaniom ze względów taktycznych, potracających nieco o demagogję. Jeśli bowiem program zawiera podatek bezpośredni od spadków, to samo przez się rozumie, że chodzi tu o podatek w społeczeństwie burżuazyjnym, a w takim razie niepodobna się osłonić argumentem, że podatku niemożna głosować ze względu na jego cele fiskalno-militarystyczne.

Tego samego zdania jest Südekum, twierdzi on, że społeczeństwo niemieckie zniechęcone liberalizmem, oburzone na jego politykę antydemokratyczną kieruje

manifestacyjnie swe sympatje ku socjalizmowi. Socjalistom tedy dla dobra socjalizmu, dla dobra proletariatu nie wolno odpychać tej pomocy, miliony wyborców do których odwoła się socjalizm na przyszłych wyborach zupełnie nie zrozumieliby głosowania przeciwko podatki od spadków, stanowiącemu jedyną przeciwwagę czterystomiljonowej grabieży podatków pośrednich.

Argumentację przedstawicielei większości grupy parlamentarnej poparł swoją powagą Bebel, któremu stan zdrowia nie pozwolił brać udziału w działalności grupy, który wszakże na zapytanie Singera nadesłał grupie list, w którym oświadczył, iż żałowałby bardzo gdyby przyszło do trzeciego czytania projektu, a grupa głosowałaby przeciwko prawu.

Wobec tak poważnych kwestji, głośna sprawa „śniadanka książecego“, w którym wzięli udział posłowie socjalistyczni Württembergji, została zupełnie zatarta, zwłaszcza, że kongres otrzymał od zainkryminowanych posłów list, tłumaczący to zdarzenie nieporozumieniem i zawierający szczerze republikańskie wyznanie wiary rzeczonych posłów.

Natomiast obszernie i gruntownie opracowano sprawę święta majowego. Już poprzedni kongres poświęcił tej kwestji sporo czasu, jednakże nie rozstrzygnął jej, choć zdawało się, że ją załatwił. Powstał na tem tle ostry zatarg pomiędzy związkami, a organizacją polityczną. Jak wiadomo, związki zawodowe zdradzają tendencję zaniechania świętowania pierwszego maja, ze względu na olbrzymie ofiary pieniężne, jakie święto to za sobą pociąga. Od kilku lat już przedsiębiorcy niemieccy wprowadzili zasadę karania głodem świętujących robotników, ogłaszając kilkudniowe, a często kilkutygodniowe lokauty, które ze swej strony prowadzą do nowych zatargów, a wszystko to wyczerpuje kasy związkowe. Otóż związkowcy uważają, że kasy te przeznaczone są wyłącznie dla walki ekonomicznej. Natomiast organizacja socjalistyczna pragnie za wszelką cenę zachować święto majowe, jako najbardziej wybitną demonstrację. Aby zatarg ten rozstrzygnąć próbowano w Norymberdze weszłym roku założyć wspólną kasę, środek ten jest jednak niewystarczający i w tym roku postanowiono założyć kasy dzielnicowe specjalnie przeznaczone na zapomogi ofiarom świętowania.

Na uwagę zasługuje również punkt porządku dziennego dotyczący organizacji młodzieży. Uchwaly powzięte na kongresie zeszłorocznym wydały rezultat nadspodziewanie pomyślny — organizacja powiększyła dziesięciokrotnie liczbę kół młodzieży. Kongres tegoroczny poczynił więc dalsze kroki po linii swego powodzenia.

Kongres ten, który się odbył w mieście będącym kolebką socjalizmu niemieckiego — w Lipsku bowiem Lassalles założył znakomite stowarzyszenie robotnicze — kongres ten pomimo różnicy zdań na nim uwydatnionej, pomimo dyskusji częstokroć prowadzonej w formie ostrej i nieprzejednanej przyczynił się do wzmocnienia organizacji, do pogłębienia jej jedności zarówno ideowej jak taktycznej. Rzecz szczególna, prasa burżuazyjna zaniechała zupełnie w tym roku odwieczny refren o nieuniknionym rozłamie wśród socjalnej demokracji niemieckiej.

Almar.

KRÓL DUCH JAKO SYN DRUIDOW.

I.

Idea genezyjska z czasem tak ogarnia całą istotność Słowackiego, że staje się nieodstępny przyśpiewem wszystkich jego twórczych pomysłów.

Jest ona tak ważną częścią jego duszy, że należałoby ją — jeśli chodzi o zrozumienie poety — uprzęścić wszystkim. Niechaj wiedzą, że choć słowo brzmi nieco symbolicznie i religijnie, sama idea genezyjska nie jest bynajmniej jakimś odblaskiem szczególnie biblijnego lub ewangelicznego nastroju. Z piśmem Świętem wiąże się chyba tylko zewnętrznie, i zawdzięcza mu jeden z impulsów, bierze od niego wielką miarę ale treść poczytna własną.

W łonie tej idei ukrywa się osobliwa wiara w odrodzenie, w powszechną palingenezę, stałą towarzyszkę wszystkich wielkich pragnień Juljusza. I dla tego powinna ona błyszczeć jak złoty napis na przybytku Juluszowej poezji, — żeby się z nią oczy oswoiły, uszy otrzaskały, żeby na sam dźwięk wielkiego tego imienia zarysowywała się w umyśle światowładna ewolucja ducha z samego siebie, osobliwy transformizm, zgoda do wszystkich innych niepodobny.

Genezis Słowackiego to duch, mknący od wcieleń głuchych, niemrawych, elementarnych aż do dalekiego, powszechnego „rozstłonecznienia” i anhellizmu — po przez ofiary kształtów dawnych dla kształtów nowych. To duch, party wwyż własną, wrodzoną jego istocie świadomością jutra, i darem wrozumiewania się i wczuwania w swoje wczoraj.

Jednym z najwyższych zastosowań idei genezyjskiej miała być mono-epopea, jak ją określił Cyprjan Norwid, — *K r ó l D u c h*.

Ale niespożyty blask motywu druidyczno-kapłańskiego z *Lilli Wenedy*, wenedyjsko-ofiarniczego, purpurowa świetność i jaskrawość idei płomiennych stosów i żertw — rzuciły na całe życie poety i na całą dalszą historję jego fantazji tak potężny refleks, że ubrany w jej łuny wystąpił i *K r ó l D u c h*. I w ten sposób królewskie przewcielenia duszy polskiej zamiast stać się wielkim konarem na drzewie genezis powszechnej, stały się w pierwszym rzędzie krwawym więcej, niż duchowym, pochodem, znacznym stacjami plonących ołtarzów. Doniosłość czysto ideową, filozoficzną tego wielkiego poematu, urzekły z miejsca i ograniczyły cudotwórstwa zaklęć druidycznych. Na tem zyskała moc artystyczna i ona też urosła do wyżyn nieprawdopodobnie arcydzielnych.

Na tę najwyższosc, którą *K r ó l o w i D u c h o w i* w głębokiej pokorze przypisuje, składa się jaknajmniej to, że ją otrąbiła fama. Ogół bowiem w tym razie więcej idzie za zewnętrznym majakiem barwnym słowa „*król*”, niż za głosem natchnienia wewnętrznego, które byłoby wtedy, gdyby to szczególnie epos więcej usiłowano zrozumieć i przeniknąć.

Choć nieco na plan drugi zepchnięta, idea genezyjska w *K r ó l u D u c h u* tak jednak wielką odgrywa rolę, że trzeba spojrzeć w jej oblicze, tak jak się ono w spiżowych oktavach poematu odbiło.

Owoż przedewszystkiem godzi się pamiętać, że Genezis z ducha to coś więcej, niż ciągle, coraz pyszniej plonująca „metampsychoza” świata. Ona została zapłodniona nie tylko przez cud istnienia w ogóle, lecz i przez cud narodu. Wzrosła i rozkrzewiła się z dwu bliźniaczych płci: panteistyczno-heziodowego i z ideału polskiej „mocy wskrzesitelnej”.

Wybiega ona na świat, — zarówno w quasi modlitwie *Genezis z ducha*, jak wszystkich in-

nych apostołujących „rewelacyjnych”, jak mówi sam poeta, pismach prozą i wierszem, lirycznych i dramatyzowanych,—ze źródła praducha, ale prawie zniecka palingenezie powszechnej wychodzi na spotkanie cel ostateczny, „finalny” ojczyzny. W przedświatach przyszłości oba pędy łączą się, jakoby pod kątem bardzo ostrym; cele ostateczne ducha z celami narodu stapiają się w jedno,—tak dalece, że w końcu trudno orzec, które z nich są dążeniem pierwotnym, a które następczem, które są pobudką apostołstwa pierwszą, a które drugą.

Gdy poeta z namaszczeniem pielgrzyma podąża ku wiecznej prawdzie, to czyni to w każdym razie w imię ukochania Polski. Jej chce znieść światło swych dociekań; ją chce podnieść i zbawić swą wiedzą; w niej i przez nią urzeczywistnić najwyższe postulaty anielstwa. W Polsce zdawna już widział Salomonową powagę i mądrość okrywające liljami i perłami koron—Starych Zygmunów, odziewające „stare Polaki” niby w poważną filozofów szatę, która budziła cześć i podziw świata całego. Polskę też koronuje wszystkimi promieniami glorii; ją chce uchronić od ciasnot, materializmów, a przede wszystkim od fałszywych proroków.

Ze stu miejsc podobnych, świadczących w różnych utworach, o wszechobecności tej wielkiej dwu—jednej idei, uprzytomniam niektóre.

W Wykładzie nauki, nazywając siebie wrogiem „...wszelkich kratek podpisanych i zapieczetowanych niby doskonałością manifestów”, Helion „przeczuwa, że z głębi ducha coś mocniejszego wyrwać potrafi... ojczyznę jakąś, którą razem dla ludzkości mogła być węgielnym kamieniem nowo budujących się narodów”. W liście do ks. Czartoryskiego mówi z uderzającym monizmem: „My, Polacy, po raz drugi od Boga mamy najwyższą syntezę świata duchowego, dawno już świat fizyczny na jedności postawiony”. W wezwaniu „Do Emigracji o potrzebie idei” woła natchniony i podkreśla: „Bóg bowiem chce Polski, aby czyniła wysokość między wysokościami, do której dążą w ideałach inne narody”. Gdzie indziej (Wykład nauki) opiewa podobnie: „Dziwem świata uczyniwszy ten naród, który pozbawiony ojczyzny aż do wieków poszedł po żywot—i ojcostwo Boże nad narodami a natchnienie, jako z ręki Boga otrzymał...” Wobec tego naturalna mu się wydaje konkluzja, którą kończy wielki wywód apostołstwa, filozofji i poniekąd encyklopedji nauk, w liście do J. N. Rembowskiiego: „Jasność Ci jest, umiłowany mój, że w przyszłości cała ziemia polską być musi”.

Niech nikt nie podciąga tych wieszczb pod ogólny strychulec mesjanizmu. Słowacki wprzód wypluł wszystkie szablony zdawkowego narodowego mistycyzmu, zanim przystąpił do budowania własnego, i zanim połączył go z górną, lodowcową sferą genezyjską. Nie jedność to brewiarzyka mesjanicznego zrodziła u niego paraklizm celów finalnych Ducha z celami finalnymi narodu, lecz o niebo wyższa „jedność ducha”.

Słowacki doskonale wiedział, że przyszłość Ducha pojmuje i poczuwa całkiem po swojemu; i nawet z pewną przesadą stawiał naprzeciw siebie Mickiewicza, niemniej w prorocत्वach swoich oryginalnego, i dodawszy mu do boku Garczyńskiego obudwu wyszydzał za ich realizm i baczenie tylko na terażniejszość.

Po prostu poczucie ducha było u Mickiewicza bardziej społeczne, u Słowackiego więcej samotwórcze; jego duch tak daleko zapędzał się w przyszłość, z jak daleka ewolucję swą rozpoczynał w przeszłości. Duch Mickiewiczowski więcej się rozpościerał po ziemi organizacyjnie, duch Juljuszowy był hurmem strzał przewiewających przez tysiącolecia, „Eljaszem na ogni-

stym wozie”. Był obietnicą wiekuistego rozkwitu, perjodycznie gającego się na ruinach przeszłości.

Z tego całokształtu Ducha, z nieogarnionej skarbnicy jego atrybutów, przejawów i cech, Słowacki przeniósł do Polski najpiękniejsze i najdumniejsze, te, któreby pozwoliły—tak mówi Lucyper w Samueleu Zborowskim,—„fantazją do gwiazd dostać się różanych, pięknocią czynów dolecieć do Boga”. „Ojczyzna była ostatecznym końcem żywota ducha ludzkiego, ona

Mogła tę ziemię jedna wziąć w ramiona
I umiłować i oddać ją słońcem.
Ona to jedna mogła, a nikt inny,
Bo była prosta, piękna, jak cud gminny,
Niepokalana...

Wszystkie nimby ducha, wolność, dostojność, królewskość, wzniosłość i światło Słowacki przeszczerpia do ogrójca przyszłej Polski. W ten sposób, ów ekstatyczny stosunek do Duchowości, którego oddać błędem słowem niepodobna, a które podsuwa poecie cuda stylu adoracyjnego, stał się stosunkiem do Polski. W nią coraz więcej, może w miarę wzrastającej tęsknoty i w miarę dokładniejszego przenikania wartości Zachodu—wpatrzony jak w najwyższy ołtarz,—otacza ją czarodziejstwem blasków witrażowych...

Tak przepolszczona nawskroś metafizyka genezyjska sama sobie koronę na głowę włożyła w Królu Duchu.

I dla tego odezwą się w nim echem wszystkie wielkie pierwiastki genesis.

I nie tylko w głównych, gotowych, zrębach epepei, lecz więcej jeszcze w warjantach, przeróbkach i urywkach rapsodów zaginionych lub może tylko zaniechanych.

Innymi słowy, duszę tego wielkiego tworu wypowiadają nie tylko trzy, mniej lub więcej wykończone eposy, poświęcone żywotom i dziełom: Popieła, Mieczysława i Bolesława Śmiałego, nie tylko rapsod zaniechany i Księga legend, poprzedzające epokę Mieczysławową—lecz i wielki relikwiarz odłamków pojedynczych, uszkodzonych lub urwanych. Jeśli w ogólności—nawet owe niby całkowite księgi nie są tymczasowem jeno spiętrzeniem jedna na drugiej kilku wielkich kondygnacji, pomiędzy które poeta zamierzał wstawić inne.

Z owych szacownych strzępów i rzutów szkicowych szczególnie dobitnie wychodzi na jaw—spółrzędność idei Króla Ducha z ideą genezyjską, równoległość epepei polskiej z palingenezą ogólną, przekrólewień narodowych z metempsychozą powszechną. Więcej nawet: — oba toki dziejowe miały się stopić zupełnie w jeden. Król Duch miał brać swój rozpęd w najwcześniejszem zaraniu genezyjskiem, w „oceanowym” cmentarzu szczątków dawnych form zwierzęcych.

Pierwotnem gniazdem Króla Ducha miała więc być ta sama rodzajna noc, od której rozpoczyna się Genesis z Ducha, mrok, podobny nieco do chaosu z pięcioksiągu Mojżeszowego. W takim razie epos całe byłoby koncepcją na olbrzymią, wszelkie siły pojedynczego człowieka przerastającą miarę. Byłaby to aifa i omega świata—zniszczenie się kompozytorskiego mirażu, który stale niepokoił wyobraźnię poety.

I byłaby to też alfa i omega dzieła życiowego Juljusza, spełnienie przeznaczeń, do których czuł się stworzonym, święta księga, w której umyślnie tajemniczą, jakoby runiczną zachowuje formę. We wstępie do Księgi legend oznajmia zagadkowo, że jest w niej tajemnica początku i końca świata, „a zatem i ojczyzny” i daje do zrozumienia, że zostaje „pod trwożą Boga, który mu zabrania wyraźniejszego wypowiedzenia tych rzeczy”.

I snadź uważa siebie za nowego objawiciela Zakonu, za nowego Mojżesza, gdyż do Króla Ducha mówi pewien „urągacz wiekowy”, może szatan:

Zaprawdę, że Izraelowy
Zakon nie spisał w księgach tak dokładnie
Prac Stworzyciela, jak my teraz w Słowie
Pooświeceni—prochów Aniołowie.

„Oświecony w Słowie” to oczywiście Tłomacz Słowa z Wykładu Nauki, czyli sam poeta.

Zamiast biblijnych: „A duch Boży unosił się nad wodami” i pierwszych dni stworzenia, Król Duch, na sposób Genezis z Ducha, i w tonie żegnającym przewroty globowe, wspomina, jak był synem miesięcznych Oceanid, jak „przeszedł przez czarne otknięcie—pełne szlochania i zgrzytów”, jak w morzu formę swą wypracował a potem zrzucił ją i jeden kształt za drugim ciskał w czeluście śmierci, choć przecież nieraz były one z pereł i djamentów.

Przetacza się więc przed nami dobrze znany wielki widok zniszczeń i rewolucji skorupy ziemskiej, samoforemnych czynów organicznego ducha i postępu, wid wielkich jak latarnie źrenic, otwierających się na światło i zmysłów, tworzących się samym duchem. I tak samo jak w Genezis częściowe te koleje nazwane są piekłem, pełnem zarówno koron jak krzyży—czyli rozrostów i śmierci—wszelako „zblizającym czasem aniołowe”.

Cały prawie rozwój światła ducha, wyłożony w odezwach rewelatorskich, odnalazł się żywcem w Królu Duchu. Nie wszedł całym torsem, gdyż wówczas rozerwałby i pokrzyżował plan przewcieleń królów polskich, lecz pojedynczemi członami. Tak więc wskrzesnął znowu prorok Eljasz „jedyny anioł z duchowego świata”, „który ma ciało, bo ciałem był święty”, człek i obłok zarazem w archaniołowym obozie, a potem smok czyniący straszliwe cuda. Tak zagrała znajomą nutą idea narodzin myśli przetwarzającej, co wali w mur praw natury, co sama bez czasu będąc, (t. j. nie podlegając kategorii czasu), wieczną walkę prowadzi z czasem, synem materji, myśl—wola i miłość „wielkie i boskie spełniająca rzeczy”. (Odmiany i urywki Rapsodu zaniechanego).

W ogólności wszystkie drogie pocie klejnoty jego filozofji wprawia na nowo w djademy Króla Ducha. Wybłyskuje więc ku nam raz jeszcze słodka, czarodziejska, znajoma twarz Helois, poganki, noszącej w swej duszy całą przeszłość człowieka. Jej duch siostrzany,—była przecież siostrą i kochanką Heliona—płakał na mogile harfiarza, śpiewającego dzieje Króla Ducha i litował się druidycznie, że mu nie dano głązów na kurhan.

Gdzieindziej znowu dawne objawienie Helois, odkrycie, które przeżywała sobą, że dusze są nieśmiertelne, i które wieściła tyle razy, wyrzywa się, już nie z uroczych jej ust, lecz z ust, zeszeptniałej od wewnętrznego piekła, Pychy, żony Piastowej, jak z dymiącej jamy, okrzykiem: Jestem nieśmiertelna!

To znowu Helois, w wieńcu z orłów i promieni djamentowych, siedząca jak posąg kamienny, zostaje zapytaną, co myśli o samej tej epopei, gdzie Ja człowiecze świat z siebie dobywa i przeszłość wskrzesza. Rozmawia ona z Rapsodem o cudnej władzy pieśni, które powinny być złotych aniołów skrzydłami nakryte, o mocy wieszca, która urasta ze sporu z rykami, o cudownej wyższości wieszczów tajemniczych nad aniołami zimnymi i rozumnymi—tych bowiem dzieło „nie przejdzie w naturę”...

Cała wsteczwidząca władza ducha, ów psychiczny teleskop, którym chwyta gwiazdy na czarnym stropie

przeszłości genezyjskiej, wciska się w harfę Króla Ducha lub piewców, którzy go wyręczają, i rozwija znany nam „wachlarz precudownej sztuki”. A szczególnie zachwyceniem napełnia, gdy odnawia fata morgana rajskiego dnia. Słowacki dużo razy wystawiał „Rajski dzień” pierwszego człowieka, pieści się obrazem Edenu u Homera—więc i w Królu Duchu, choć bez słusznej zasady, wyczarował go na nowo z przeszłości. Słowem, z wszystkich swoich przepychów, różnych epok i źródeł, zszywa on płaszcz dla dziejowego ducha w koronie. Wszystkie swoje motywy szczególnie pamiętne i poetycznie ważkie, tu raz jeszcze zaprasza w gościnę. Wszystkie symbole i wersje Trójcy, trójcę aniołów w człowieku, trójcę ziszczającą się w poczęciu dziecka, prawdę swej filozofji i patriotyzmu — wwiódł uroczyście to pojedynczo, to parami, to gromadkami, pod sklepienie królewskiej epopei. Suną więc przez nią rozsypaną procesją: idea umacniania się państwa, echo ulubionej idei rządów Agamemnona, duch złotej wolności polskiej, wykute zarysy wspólności słowiańskiej, która bierze w swoje ramiona wolny ongi Nowogród i Psków,—i wszystkie powaby psychiczne i rasowe polskości.

A nad tematami poszczególnymi przepływa idea główna, podobłoczna, genezis monarszo-duchowa, która nie łączy się właściwie ani w historję, ani w historjofję, lecz je obejmuje jakoby dramat dramatów, apoteoza apoteoz. Czuwa on z góry i baczy, żeby się pleniło drzewo ducha i potęgi polskiej, żeby się stopniowo mnożyły światła. Przeto każdy rapsod następny to nowa gałąź na szczepie ducha, to nowe świętości w arce przymierza między starami a nowemi laty, to nowa dzwonnica na kościele narodowej piękności i potęgi. A wszystkie razem to ogromny śpichlerz, coraz lepiej napełniany narodowym dobytkiem.

Z całą swą majsterską swobodą, której nakładał pęta jedynie logiki wewnętrznej, ogólnej, poeta ręką króla ducha odchyła grobowe całuny z nad wielkich tyraństw, wściekłości i czynów tragicznych, z nad czynów odnowicielskich i wzlotów do ideału. Czasami wydaje się, że strofy pojedyncze, tołtabliczki babilońskie tabliczki z klinowem pismem, opiewające dzieje świata i historję ducha, albo runy na zbryzganych krwią głązach. Odczytywać je — to przedzierać się przez sybillańskie pieczary, pełne tajemnych zwierciadeł wód, złowróżbnych szelestów, ukrytych śpiewów, groźnych szczeńków i połysków. Niby prowadzą one na jaśnie, ale tak daleko, że może niedoczekaną i ginącą kędyś w przestrzeniach bezwymiernych samej istoty Boga.

Trzeba być uważnym w tym labiryncie kosztownych, bezcennych marmurów i bronzów, i pamiętać, że każdy z nich jest stężalą w kryształę słowa treścią wielkich wydarzeń, wojen „duchów świętych”. Męczą one i ślepią, odurzają i upajają jakoby napowietrznym lotem, — wchodzi się w nie, jakoby w skaliste łona Tatr, w których śpią zakłęci rycerze.

Po przez takie to rumowie opadłych meteorów wije się kilka wielkich linji genezis polskiej, na poły historycznych, na poły bajecznych.

Linje te zaczynają się w morzu krwi, na pobojowisku wyrzniętych ludów, w mitycznych hekatombach świętych plemion, w popiołach pogromów, — idea zemsty. Mścicielem i despota, pijącym krew jest tedy Popiel, a czyny jego są krwawą robotą polskiego Iwana Groźnego lub przywodzą na myśl Chana, który pławi się we krwi w Księżcu Twerskim. Całe to Ja królewskie — to jedna nieprzerwana bachanalja okrucieństw i srogości, strasznych bojów i odwetów, zuchwałych żądź i rokoszw przeciw Bogu. Tyran próbował, czy niebo martwe jest czy żywe”, wprost pragnął widomego znaku Boga, któryby go upokorzył.

Znak ten się pokazał straszną na niebie kometa i król-morderca przekonał się, że przecież służy, chcąc nie chcąc, Duchowi. Przez niego ojczyzna wzrosła i nawet nazwiska dostała: „Polska — na ból skała”.

Inna linja prowadzi przez dumę i złość Rze-pychy. Chciała pomścić zniewagę, którą wyrządzili jej aniołowie, gdy w chacie gościnnego kołodzieja odmówili błogosławieństwa synowi jej Wodanowi, i zakławszy w sen całą ojczyznę, ściągnęła na nią miecz Ottona. Ale drugi syn, Ziemowit, pobłogosławiony i duchem bożym namaszczony, sama światłość i promiennosc, obudził ziemię z letargu i ziemia odparła najezdce. Wodan rzucony sierotą w świat, nie został jednak zdeptanym kwiatem — owszem, rozchylił się po swemu cudną żałością, melancholją i śpiewem i „z niego się rozwinął smutny ton słowiański”.

Do trzeciego plonu prowadzi droga przez żywot Mieczysława. W nim duch wzbił się ogromnie, bo Polska przyjęła chrześcijaństwo. Wprawdzie smutek zaległ pola, gdy przestały działać święte gusła i czary pogańskie, ale ojczyzna urosła duchem.

Żelazny żywot Bolesława Śmiałego — czwarta i ostatnia linja — to poniekąd ciąg dalszy Popiela, taka nad nim wisi groza i tragiczność. Jak Bolesław miota Polską, tak nim miota siła wyższa. Jak huragan, przez dzieła jego i zamysły, wieje na ziemię potęga. Chęciami swemi, jak pożoga, spowija ojczyznę, krzepi narodowy majestat, wykryształa narodowy geniusz, stacza zwycięskie boje, rozszerza granice i zatyka chorągiew polską na siedziskach wrogów.

Obliczać sumę korzyści i postępu z tych gwałtownych rządów, tragedji, nawróceń, namiętności—to jakby obliczać sumę ruchu fal morskich.

Cezary Jellenta.

POGRZEB RAJCHMANA.

„Gdy życie w danym ośrodku słabnie, schnie, zamiera, gdy naokół unoszą się trupy, zabójcze opary, wtedy zjawiają się pewne roztocze, saprophyty, doskonale czujące się w takim gruncie, przepojonym rozkładem i gniciem. Rola ich jest nawet pożyteczną, sygnalizują bowiem o niebezpieczeństwie, o potrzebie sanacji. Jeśli jednak proces gnicia posunie się zbyt daleko, węzre zbyt głęboko, życie ustąpić musi saprophitom, Ślaskim i Milkowskim, Rajchmanom i Krzeczowskiom. Wszystko też, co ich rozwojowi sprzyja, z punktu dobra społecznego, zasługuje na piętnowanie, karcenie i szczerą ocenę.“ („Społeczeństwo” № 32 z d. 8 Sierpnia 1908 r.)

Ogólnie znaną i utartą jest zasada, że za dział reklamowy redakcja nie przyjmuje żadnej odpowiedzialności, w zawartość anonsów się nie wtajemnicza, treść pisma wyraźnie od nich odcinając. Zdarza się jednak, że słono płatne ogłoszenie staje się furtką, przez którą wślizga się redakcyjna wzmianka, artykuł lub informacja zachęcająca, które oczywiście wielokrotnie więcej ważą niż największy inserat i w rezultacie kieszeń czytelnika bywa opóźniona i cel osiągnięty. W imprezie z awiatką rajchmanowską wi-na prasy potęguje się przez to, że p. Rajchman jest osobnikiem dostatecznie skompromitowanym i zdyskredytowanym, obowiązkiem przeto jej było raczej oziębłać zapal publiczności, niż go podsycać, raczej krytycyzmem równoważyć jej podniecenie, raczej przestrzegać ją przed wszystkim, czegokolwiek dotkną

się tak niechlujne zaszargane ręce, umysł przewrotny i delatorski, charakter zdeprawowany do cna. Tymczasem prasa (za nielicznym wyjątkiem) prawie nie odstawiając — co jużby było sygnałem ostrzegawczym i znakiem porozumiewawczym — z nazwiska bezczelnego i sprytnego impresarjjo, prześcigała się w zainteresowaniu ogółu „cudem XX wieku“, sugiestjnowała i oszałamiała łatwowiernego przeważnie czytelnika, kazała mu się napawać łechcącą dumą, że danem mu będzie uczestniczyć (za grube pieniądze) w napowietrznych tryumfach. A różne narkotyki, przyznać trzeba, są nam widać potrzebne i pożądane. Po zamknięciu Macierzy szkolnej zjawiły się Momusy i Chochliki, rozerwały, zabawiły nas w samą porę, po zniknięciu Tow. wpisów szkolnych uwaga nasza skierowała się na skrzydła Rajchmana, na pociechę po Chełmszczyźnie będziemy mieli pewnie redutę prasy, która blaskiem swym, przepychem i artyzmem zaćmi wszystkie reduty świata. A już nie nasza to wina, że skrzydła te okazały się nie ikarowemi, że zostały spopielone nie przez żar słońca, ani strzaskane przez siły potężne, lecz marnie, nędznie, sromotnie ugrzęzły w trzęsawisku frymarku i tandety, życia karlego i nędznego...

Jeżeli jest co pocieszającego w całej tej aferze, będącej już przedmiotem wesołości i drwin nawet na bulwarach paryskich, to to, że może ten wybuch słusznego oburzenia, ta chłosta syków i gwizdów, ten grad pogardy i szyderstw, który ścigał chyłkiem czmychającego przez stajnie wyścigowe czelnego opryszka, że może to na dłuższy czas, w każdym razie do wyczerpania złupionego haraczu naszej głupoty i niezaradności, uwolni nas od jego odwiedzin i „popisów“.

Cz. Hul.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Stefanja Sempołowska, „Z dna nędzy“. Warszawa 1909.

Więzienie jest to instytucja społeczna, w której państwo umieszcza jednostki bądź zbyteczne dla ogółu, bądź też dlań szkodliwe. Lecz zarówno ludzie zbyteczni, jak i szkodliwi są przez społeczeństwo wyklęci, nie bacząc na to, że są oni jego dziećmi, jego własnym tworem.

Środowisko ludzkie w ustroju kapitalistycznym im bardziej jest zróżniczkowane, a mniej uspołecznione, tem więcej posiada więzień, tem mniejszym rozporządza zakresem samopomocy wzajemnej i opieki prawnej względem swych zniedołężniałych lub nieprodukcyjnych członków. Liczba więzień znajduje się wówczas w odwrotnym stosunku do pozostałych i pożytecznych instytucji społecznych. Im więcej posiadamy *maisons de correction*, tem mniej szpitali, sanatorjów, szkół, schronisk i t. d. Za to więzienie staje się instytucją uniwersalną; cele służą jednocześnie i za przytułek dla starców i kalek, za szpital dla chorych umysłowo i wenerycznie, za schronisko dla sierot i dzieci opuszczonych, wreszcie za dom „poprawy“ i szkołę rozpusty i zbrodni—*maison de corruption*.

W książeczce pani Sempołowskiej znajdujemy szereg ilustracji życia więziennego, ilustracji tragedji społecznej, która rozgrywa się ustawicznie, bez przerw i antraktów, przy udziale tysięcy wydziedziczonych „wyrzutków“, zepchniętych na dno istnienia ludzkiego przez własne społeczeństwo. Książeczka „Z dna

nędzy" (jak i wszystkie tego rodzaju książki, pamiętniki, listy i notatki, których tak wiele mieliśmy ostatnimi czasy), odzwierciadlająca bieg życia w tych miejscach przeklętych, jest pisana krwią serdeczną. Autorka kreśli głęboko odczute, „okropne obrazy, które przesuwają się jak sen nigdy nie zapomniany“ w IV celi na oddziale kobiecym w ratuszu. Mamy więc ilustrację starości bezdomnej, żywy obraz dzieci więziennych, jaskrawe sylwetki i portrety prostytutek, mamy wreszcie ponury obraz śmierci; i zaprawdę „ten zgon wśród brutalności życia więziennego, te zwłoki w karcu złożone“ wydać się mogą grubą i przykrą profanacją śmierci. Sceny niedoli i upokorzenia są odtworzone z wstrząsającym realizmem, a sylwetki ludzi, wyrzuconych po za obręb własnego środowiska są wyraźne, choć kreślone szerokimi linjami. Książeczka „Z dna nędzy“ jest nadto żywym protestem przeciw tyranii powszechnej względem „wyklętych wyrzutków“, wypływającej z braku odpowiedzialności społeczeństwa za rzeczy, dziejące się w jego środowisku, pod jego bezpośrednim wpływem i z jego winy, wyraźnej i niepodzielnej.

Henryk Lukrec.

Jan Stanisław Mar. *Historja dwojga ludzi i jednego filistra*. „Nowości literackie“ St. Sadowskiego. Warszawa 1909 r.

Bezwątpienia w poglądzie krytycznym na jednostkę, musi istnieć wpływ subiektywnego pojęcia wartości decydujących. Dla człowieka o zdecydowanych przekonaniach moralnych, każdy inny człowiek nie posiadający kwalifikacji otrzymania sankcji od jednostek, różniących się usposobieniem w patrzeniu na sprawę racjonalnego istnienia, będzie tylko człowiekiem niedostatków, człowiekiem *minorum gentium*, o których inni wyrażają się zazwyczaj z lekceważeniem.

Dlatego między tak zw. filistrem a tak zw. artystą nie dojdzie nigdy do porozumienia. Jeden z nich całe swoje istnienie opiera na tych, w swoim pojęciu, wartościach pierwszorzędnych, które drugi nazywa poprostu szelmostwem.

P. Jan Stanisław Mar ma niezaprzeczonego talent. Dzięki temu koniecznemu, a niestety tak niezmiernie rzadkiemu dzisiaj warunkowi, z nieposlednią siłą obserwacji, opromienionej darem subtelnego odczuwania nieprzewidzianych załamywań duszy ludzkiej pokazał nam w książce swojej dzieje dwojga ludzi. On i ona niby artyści, ten trzeci pospolity filister, którego tamci oszukują. Lecz nie o przeciętną moralność chodzi autorowi. J. Mar w sposób niezmiernie delikatny rysuje drogę nieszczęścia ludzkiego, nieszczęścia być może niebardzo widocznego dla ludzi szczytujących się swoją trzeźwością, nie mniej jednak bolesną dla biednych, schorowanych w męce przesadnej często wrażliwości dusz nielicznych.

Główny bohater utworu p. Mara to zaniedbany, brudny (nie zawsze tylko fizycznie) geniusz typu geniuszów kawiarni literackich. Mimo swej przesadnej donkichoterji jest to człowiek niepospolitych zdolności i pierwszorzędnej erudycji. Droga zwykłej zaczepki ulicznej, którą przeprowadza z niesłychanym artystycznym rozmachem, poznaje biedną nauczycielkę, która porwana fatalną siłą jego argumentacji — wbrew tradycyjnemu — rodzinnym a przedewszystkiem parafianiskim pojęciom uczciwości kobiecej, zostaje jego przyjaciółką, lecz tylko przyjaciółką platoniczną.

Nie myśli o Morwie, inaczej jak tylko o dobrym przyjacielu z którym się chodzi na wspólne obiady do taniej kuchni. Stosunek ich jest ściśle intelektu-

alny i do tej pory niema w nim nic ciekawego. Lecz Morwa wyjeżdża tak, jak to niegdyś uczynił to już Niepołomski. Nie mam jednak najmniejszego zamiaru podawać w wątpliwość oryginalności tej sytuacji. Opanowanie kobiet kochających nie jest wynalazkiem Niepołomskiego. Robi to każdy mężczyzna ilekroć mu się kobieta znudzi—albo wtedy, kiedy go męczy przyziemność życia, kiedy tak jak Morwa pragnie szerszego widnokągu—każdy zresztą człowiek obdarzony boską iskrą prawdziwego, nieprzeciętnego talentu! Lecz kiedy wraca z pieniądze Ireny, która już zdążyła wyjść za mąż, wtedy dopiero zaczyna się trójkąt właściwy! Miłość tych ludzi tak różnych i tak dalekich od siebie, splata ich życie razem w nielitościwy łańcuch męczarni. Irena oddaje się Morwie w szaleństwie kobiety kochającej po raz pierwszy, obłąkaniem swojej żądy miłosnej. Kocha już znudzonego Morwę tak jak, ją kocha jej mąż — filister! Człowiek ten domyśla się wszystkiego, nie może się jednak zdobyć na krok stanowczy. Wielka miłość jego do Ireny, a raczej wielkie pożądanie, nie pozwala ryzykować jego bądź co bądź racjonalnego stosunku z żoną!.. I dlatego przekonawszy się o przesycie Morwy uczuwa radość! „Teraz Irena będzie moją — woła. Będę ją miał na własność!“

Mały człowiek, człowieczek nawet nieumiejący się wznieść do wysokości cierpienia. Lecz jakże niewyszukanie pospolitą w swym cierpieniu kobiety jest Irena! A Morwa?! Ludziom jednak nie można przylepiać etykiety — i o ile przypuszczam — p. Mar w tytule swoim na serjo tego nie uczynił. Inni ludzie — ludzie czytelnicy sami doszukają się w tych jednostkach cech właściwych i uznanych przez siebie wartości duchowych. Będą to napewno mogli uczynić, albowiem ludzie p. Mara są to ludzie prawdziwi...

St. Kiedrzyński,

Z T E A T R U.

Bernard Shaw. *Lichwa mieszkaniowa*. Komedja w 3-ach aktach
Pierwsze przedstawienie w teatrze Letnim.

Znamienną cechą indywidualną Bernarda Shaw'a jest zamiłowanie do przesiewania przez drobne sito krytycznego intelektu wszelkich zjawisk życia i sztuki. Zamiłowanie to, jako właściwość nabyta czy też zdobyta, wypowiada się nadewszystko w technice twórczej, a osobliwie w stylu. Opiera się ono jednakże na skłonności naturalnej, niewyrozumowanej, a zwiędęsko, samodziernczo silnej. Dla mózgowców tego typu uczucie jest w wyjątkowych wypadkach godne czci, niekiedy wzbudza w nich politowanie, ale najczęściej — ochotę do śmiechu. Stąd skłonności satyryczne, powszechne u tego typu artystów.

„Miłością mężczyzny jest świat, światem kobiety jest miłość“. Stare to zdanie, stwierdzone w naszej epoce przez Byrona, Jean Paul'a, Nietzsche'go, Weininger'a, Elen Key, Strindberga, Wedekinda... Shaw jest najbardziej chyba krańcowym wyznawcą tego poglądu. Nie mężczyzna daje jego zdaniem inicjatywę w rzeczach miłości, lecz kobieta. Jest ona wyrazićką żądy życia, siły gatunku, której wszystko na ziemi podlega. Mężczyzna również ma prometejski ogień ducha i walczy z naporem fali uczucia, która zagasić go pragnie. Dla kobiety jest mężczyzna środkiem do

celu, któremu na imię: dziecko. Kobieta chce radzić— i ujarzmią mężczyznę, zniewala go swą władzą do poddania się twórczej woli gatunku.

I oto Don Juan Shaw'a („Man and superman”) to nie ów legendarny uwodziciel, szczęśliwy zdobywca tysiąca i trzech kobiet, lecz człowiek o wybitnym intelekcie, „przewrotowiec”, herold praw i nowych pojęć. I on to zostaje uwiedziony przez skromną nieuczoną, „pojedyńczą” dziewczynę, Miss Anu.

Ten sam motyw napotyka się i w „Lichwie mieszkaniowej” (Ten okropny tytuł nie przynosi zaszczytu bezimiennemu tłumaczowi).

Blanka Sartorius, córka spekulanta-kamienicznika, ciągnąca zyski z wynajmu ohydnych nor najbiedniejszej warstwie ludności, zagięła parol na młodego lekarza Harry Treuch'a. Główną treść komedji stanowi szamotanie się ofiary w żelaznych uściskach *boa constrictor* — kobiety. W pierwszym akcie udaje się jej przezwyciężyć nieśmiałość zakochanego, podejrzliwość ojca i konwencjonalne „nie wypada” mentora Treuch'a. W drugim akcie sytuacja zaostraża się dramatycznie. Treuch dowiaduje się, że jak bardzo szkodliwego społecznie przedsiębiorstwa płyną miliony Sartoriusa i postanawia nie brać od niego pieniędzy. Ale Blanka ani myśli pozbywać się przepychu i wygod— cecha powtarzająca się często u typów kobiecych Shaw'a, zaręczyny zostają zerwane. Sartoriusowi udaje się wprawdzie przezwyciężyć idealizm młodzieńca. Wykazuje mu bowiem, że i on sam czerpie swe dochody z tego podejzranego źródła. Treuch daje się przekonać, ale teraz Blanka jest nieugięta. To nie dosyć pokonać ofiarę, trzeba ją obezwładnić. Cóż jej przyjdzie z męża - buntownika?.. Ona wie dobrze, że Treuch powróci, ale powróci łagodny jak owieczka, powolny jak dziecko. Tego jej potrzeba — odpycha więc narzeczonego.

Treuch powraca. I powraca odmieniony zupełnie. Z idealisty przedzierzgnął się w spekulanta, pragnie zarabiać, zarabiać jak najwięcej, nie przebijając w środkach. Teraz przypada Blance do gustu. Wystarczy krótka rozmowa, aby go znowu ujarzmić. Teraz nadaje się na męża, bo stał się już „rozsądny”. Treuch poddaje się po raz drugi, ale już nietylko kobiecie. Staje się teraz niewolnikiem burżuazyjnego światopoglądu. Zawrze przyjaźń ze spekulantami Sartoriusem i Lickcheesem, będzie ścisła ich brudne dłonie i będzie korzystał z nich doświadczeń na polu zdobywania pieniędzy. Ogień prometejski został ugaszony gruntownie.

Satyra społeczna, określenie zastosowane prawie jednomyślnie przez recenzentów warszawskich, jest traktowana tutaj jako epizod. Niefortunny tłumacz powinien był nazwać tę komedję: „Rola kobiety w rozwoju społecznym” lub „Kobieta a kwestja społeczna”... Sartorius jest szkodliwym społecznie typem, ale stokroć bardziej szkodliwą jest jego córka. „Lichwa mieszkaniowa” jest zjawiskiem haniebnym, lecz przejściowym, a szkodliwość społeczna kobiety jest stanem nieustającym. Kobieta jest tutaj przedstawicielką ślepych sił natury, instynktów pierwotnych, walczących zwycięsko z duchem ludzkim.

I dlatego rola kobiety jest tutaj najważniejsza. Blanka powinna być spokojna, powinna mieć pewność siebie, właściwą zjawiskom natury, a wybuchy jej temperamentu powinny mieć charakter żywiołowy. P. Dulębianka uczyniła z córki lichwiarza banalną komedjową angiolkę. W scenach gwałtownych była zbyt flegmatyczna, a zamiast pewności siebie dała w dialogu końcowym kokieterijność niewinnego dziewczęcia. Do roli tej potrzeba świadomościowych koturnów.

P. Wostrowski był błady, to jest taki, jakim autor chciał mieć Treuch'a. Znam zbyt mało tego,

zdaje się, utalentowanego artystę, aby mózdz różniczkować wartość tej kreacji.

P. Frenkiel dał typ pocziwego łotra, kunsztownie opracowany w szczegółach.

P. Roland przypominał swą ruchliwością neura-stenicznym arystokratów środkowej Europy. Nie było w nim ani trochę angielskiego gentlemiana.

J. M. Muszkowski.

PRZYRODA I CZŁOWIEK W AZJI ŚRODKOWEJ.

(Dokończenie).

Jeżeli w Azji Środkowej przez czas jakiś panuje spokój niczem nie zakłócony, to pola dostarczają obfitych plonów i gęstość zaludnienia szybko wzrasta. Gdy wzrost ten dojdzie do takiej cyfry, że ludzie zaledwie już mogą wyżyć z tego, co daje oaza, to następuje stan nadzwyczaj niebezpieczny; życie setek tysięcy ludzi zależy od stanu urządzeń nawadniających; ale stan ten jest rzeczą bardzo nietrwałą.

Te kanały nawadniające, wyłożone kamieniami lub tylko wylepione gliną, potrzebują nieustannej pieczy, gdyż każde zaniedbanie może spowodować najfatalniejsze następstwa. Mieszkańcy oaz wiedzą o tem doskonale, nie dziw też, iż otaczają oni większe urządzenia nawadniające pewną religijną czcią.

Mimo to jednak, mimo największych starań położenie jest wciąż bardzo niebezpieczne, życie mieszkańców wisi wciąż na włosku.

Tysiączne bowiem zaiste niebezpieczeństwa grożą tym urządzeniom: nadmiar wody i susza, burze i trzęsienia ziemi, ludzie i zwierzęta — wszystko to może im przyczynić niezmiernie w skutkach szkody. Najważniejszymi niebezpieczeństwami są następujące:

1. Zaczniemy od najmniej dających się przewidzieć — od *trzęsień ziemi*. Wschodnia krawędź niziny Turanu stanowi znany obszar sejsmiczny. Niedawno jeszcze straszne trzęsienie ziemi Audiszańskie przyprowadziło o śmierć niezliczone mnóstwo ludzi i zniszczyło liczne budowle oraz inne urządzenia. Trzęsienie ziemi może zmienić pochyłość jakiejś równiny, a stąd wyprzeć rzeki z ich łożysk, może zasypać kanały lub pozbawić je wody, która zniknie w szczelinach sejsmicznych. Wprawdzie wypadki takie nie są nam znane, ale bardzo prawdopodobne, zwłaszcza w Ferganie.

2. Niezwykle oberwanie się chmury może spowodować straszne zniszczenie: olbrzymie masy rumowiska i błota pędzą wtedy ku dołowi i wypełniają kanały tak, iż nie pozostaje z nich ani śladu. Gdy powódź spływa, rzeka nie znajduje już pierwotnego łożyska i wyszukuje sobie nowej drogi, co zmusza do zupełnie nowych urządzeń kanalizacyjnych.

3. Nawet zupełnie normalna praca erozyjna i akumulacyjna wody płynącej może spowodować zmianę łożyska rzeki; dość większego rozwoju stożka nasypowego po jednej jego stronie, by kierunek strumienia po nim spływającego wyprzeć ku drugiej stronie — strumień opuszcza dawne łożysko i żłobi sobie nowe. Zmiana położenia jeziora Lobnor, stwierdzona przez Iven Hedina, również tutaj należy. Daleko wspanialsza i w skutkach groźniejsza była zmiana kierunku rzeki

Hoangko roku 1854. Katastrofa ta właściwie nie należy do obszaru bezodpływowego, lecz do peryferycznego, ale to w danym razie nie zmienia rzeczy, gdyż sposób życia Chińczyków jest w tej części Azji ściśle związany ze sztucznym nawadnianiem, albowiem głównym zbożem tutaj jest ryż, a ten potrzebuje zawsze obfitego, sztucznego polewania pól.

Rzeka Hoangko do roku 1852 płynęła kupołudniow-schodowi od Kaiföng-fu i wpadała do morza wspólnie z Jana-tse-kiangiem. Cała okolica posiadała wyborne urządzenia nawadniające i bardzo gęsta ludność osiągnęła tu wysokiego stopnia kultury. Naraz w czasie bardzo wysokiego stanu wody rzeka przerwała tamy, porzuciła swoje pierwotne łóżysko i w północno-wschodnim kierunku znalazła sobie nowe ujście do morza na południe od ujścia rzeki Peiho, omijając tym sposobem całą prowincję chińską Szantung. Na swej nowej drodze rzeka zniszczyła naturalnie wszystko, co napotkała; zginąć przytem miało przeszło dwa miliony ludzi, niewiele świadków tej katastrofy pozostało przy życiu. To jednak nie należy do naszego tematu. Nam chodzi o to, co się działo dalej na obszarze, opuszczonym przez rzekę. Naturalnie wszystkie tak piękne urządzenia kanałowe uległy zupełnemu zniszczeniu. Pola ryżowe wyschły i nastąpiła klęska głodowa. Ludzie oczekiwali jeszcze czas jakiś, że niewierna rzeka powróci na swe dawne łóżysko lub, że rząd chiński postara się na nowo ją do niego doprowadzić. Gdy jednak przekonali się, iż rzeka nie wraca, a rząd rozpoczął nawet regulację nowego łóżyska, szukali w części ucieczki od śmierci w emigracji, a wynikiem przy tem powstanie mogło być stłumione tylko przez wytopienie powstańców prawie do ostatniego człowieka.

4. Nagła susza sprowadza podobne skutki. Rzeki górskie wskutek jednego tylko roku, ubożego w deszcze, mogą stracić tyle na ilości wody, że nie są w stanie wystarczyć na nawodnienie całego danego obszaru. Stąd wynikają zamieszki pośród ludności, zjawia się niezadowolenie i nędza, gdy po pierwszym roku suszy nastąpi taki sam drugi, to katastrofa jest zupełna.

Z takich klimatycznych zmian wynikają np. ciągłe zmiany położenia błotnistego jeziora Hamun w Iranie. W jeziorze tem kończy swój bieg rzeka Hilmend, której delta była niegdyś bardzo zaludniona. W pierwszych dziesiątkach lat XIX stulecia brzeg tego bagniska odsunął się od delty Hilmendu na znaczną odległość; w roku siedemdziesiątym kultura rolna musiała się posunąć za ustępującem jeziorem, porzucając miejsca dawne, gdyż z powodu obniżenia poziomu wody stojącej grunt nie posiadał już, jak przedtem dostatecznej wilgoci. W najnowszych czasach poziom jeziora znów się podniósł i część nowo założonych pól dostała się pod wodę; podróżnik Pumpelly opowiada, że niektóre prace rolne odbywały się tam w wodzie. Naturalnie obszar jeziora był już większy, ale był też i mniejszy, niż dzisiaj, to nam objaśnia, dlaczego na delcie Hilmendu równoległe do brzegu jeziora ciągną się niezliczone równiny. Obszary, na których występują równiny, nie były pod wodą od czasu, gdy zrujnowane obecnie budowle zostały wzniesione — ruiny te są tego rodzaju, iż zalew musiałby je zniszczyć, albowiem cegły nie wypalane nie mogłyby się oprzeć wodzie. Możliwą jest rzeczą, że tutaj istniały również ruiny o wiele starsze, które padły ofiarą ostatniego zalewu. Dzisiaj pozostały tylko te, które od czasu zrujnowania nie były zalane.

Ważną tu jest ta okoliczność, że zrujnowane budowle zostały opuszczone nie wskutek nagłej katastrofy, lecz powoli w miarę jak kultura musiała postępować za ustępującym brzegiem jeziora. Podobne stosunki spotykamy na Węgrzech nad jeziorem Balaton. Obco-

krajowiec, nie znający stosunków miejscowych będzie zdziwiony widokiem wielu ruin i porzuconej kultury: byłby przekonany, że tu miała miejsce jakaś katastrofa, która kosztowała życia wielu tysięcy ludzi; tymczasem w rzeczywistości nie było nic podobnego: winnice ginęły powoli, piwnice stawały się zbyteczne, właściciele przestali się o nie troszczyć i porzucili je. Wiele z tych porzuconych piwnic uległo pożarowi, ale nie wszystkie równocześnie.

Zmiana kultury była tu przyczyną upadku i ruin.

5. Jednym z największych niebezpieczeństw, grożących obszarom sztucznego nawadniania jest *wrogość ludzi*, mściwy nieprzyjaciel może tu zrzucić szkody olbrzymie. Szczególniej łatwo jest nieprzyjacielowi nałożyć haracz na rolników takiego obszaru: potrzebuje on tylko stać się panem głównego kanału, aby trzymać w poddaństwie cały obszar sztucznego nawodnienia. Nie dziw też, że obszar taki bywa otaczany obwarowaniami, wzdłuż kanału głównego znajdują się wszędzie posterunki wartownicze, a na granicy obszaru wznoszą się wieże strażnicze, z których można wciąż śledzić, co się daleko dzieje na stepie i zawczasu przygotować się do grożącego niebezpieczeństwa.

Naturalnie, że bardzo często wobec przewagi nieprzyjaciela wszystkie te środki okazują się bezskuteczne, a wtedy nieprzyjaciel niszczy cały kraj lyb przynajmniej urządzenia nawadniające.

Historja opowiada nam o wielu wypadkach tego rodzaju, ale historycy, zwłaszcza dawniejsi, zwykle niewiele zwracają uwagi na kwestję nawadniania i sposobu życia rolniczego ludu, podnoszą natomiast wielkie czyny wodzów i ich wojsk.

6. Największe jednak niebezpieczeństwo grozi urządzeniom kanałowym ze strony *złej administracji* — zdemoralizowanych lub niedbałych urzędników. Mezopotamia, Egipt i Persja dostarczają na to najlepszych dowodów. W ostatniej zupełne zwyrodnienie moralne rządu doprowadziło naród do stanu żebraków.

Jeszcze wymowniejszymi być może świadectwami tego są owe ruiny, których szeregi ciągną się we wschodnim Turkiestanie i które dzięki badaniom Aurelego Steina zyskały na sile dowodowej.

Nie ulega wątpliwości, że oazy wschodniego znajdowały się w stanie kwitnącego rozwoju dopóki w Chinach panował porządek i, gdy jednak rząd zaczął się psuć, oazy te zaczęły również opadać i zwolna opustoszały. Nie było tu katastrofy, lecz zmiana powolna; i mieszkańcy opuścili te oazy nie nagle jakby się to mogło wydawać na podstawie opisów Gren Hedina, było to raczej wywędrowanie, przy którym człowiek zabiera ze sobą wszystko, co nie jest pozbawione pewnej wartości, jak np. porozbijane naczynia lub nie jest zbyt ciężkie, jak np. wielkie posągi. Oazy te zostały opuszczone również nie z powodu zasypiania piaskiem, lecz wprost z powodu popsucia się urządzeń nawadniających.

Fałszywym byłoby wnioskować z istnienia tych ozim, że Azja Środkowa znajduje się obecnie w perjodzie wysychania. Ilość wody w rzekach jest bardzo wrażliwa: na najmniejszą zmianę klimatu ilość wody w rzekach reaguje bardzo silnie, a jeszcze silniej ta ilość wody, która służy dla celów nawadniania; przy najmniejszym zaniedbaniu kanałów będą one zaraz użytkowały daleko większą ilość wody, aniżeli kanały normalne. Dalej nie obojętną jest rzeczą, jak wielka część obszaru, ciągnącego się bezpośrednio u stóp gór, jest objęta w system nawadniający. Jeżeli obszar ten zmniejsza się, to masy wody rzecznej mogą być rozprowadzane na większą odległość i odwrotnie, przy większym obszarze nawadnianym u stóp gór, obszary dalsze niżej leżące, otrzymywać będą mniej

wody. Przy niedbałej administracji łatwo może się zdarzyć, że na tę ważną kwestję rozkładu wody nie będzie zwrócona należyta uwaga, co odbije się smutnie na bardziej oddalonych, niżej leżących okolicach. Wówczas ludność z tych niższych okolic zacznie wędrować w górę do stóp gór, do głównego obszaru nawodnienia, co sprowadzi tu wielkie zamieszki, gdyż tutaj już każdy kawałek ziemi i każda kropla wody są zużytkowane.

Zewnętrzne granice nawodnionego kraju oznaczają maximum, do którego nawodnienie wogóle kiedykolwiek dosięgło. Naturalnie, że w pobliżu stóp gór nie napotkamy tu żadnych ruin, gdyż w razie, gdyby tu one z jakiegokolwiek przyczyny kiedyś były, to zostały szybko pokryte przez nową kulturę.

Zniszczenie urządzeń nawadniających może być albo nagłe albo powolne. Pierwsze może być wywołane przez trzęsienie ziemi, oberwanie się chmury lub przez najście nieprzyjaciela. Daleko częstsze są zniszczenia powolne, sprowadzane przez zmiany klimatu, zmiany łóżyska lub poziomu rzeki i wreszcie niedbalstwo administracji.

Skutki zniszczenia nagłego są dla mieszkańców oazy straszliwe. Wśród pustyni czy stepu, w których tylko nomadzi żyć potrafią, w sąsiedztwie dobrze obwarowanych i bronionych obszarów nawodnienia, w których zapas wody jest zużyty do ostatniej kropli, gdzie więc nie ma miejsca dla nawiedzonych nieszczęściem, grozi im śmierć głodowa.

I gdzież się mają udać? — O odbudowaniu urządzeń nawadniających nie ma co myśleć, bez nawodnienia zaś nie wyrośnie ani źdźbło trawy w zniszczonej okolicy. Jakże smutny obraz przedstawiać muszą wyschłe kanały i wypalone zboża! Nieszczęśliwy lud składa swe rzeczy na wozy i puszcza się w drogę do okolic, gdzie bądź łatwiej założyć nowe kanały, bądź też można uprawiać zboże bez sztucznego nawadniania. Jeżeli ludność stepu nie zwiększyła się jeszcze do tyła, iż każdy dogodny kawałek kraju jest zajęty, wówczas wywędrowanie może jeszcze uratować nieszczęśliwych, ale co robić, jeżeli już nie ma miejsca na schronienie — wówczas wędrujący lud musi czy to siłą, czy podstępem zdobyć dla siebie miejsce nad żywiącą wodą. Ilość wygnanych bezdomnych wędrowników z biegiem czasu zmniejsza się. To tu, to tam któryś z nich pozostaje; a i śmiertelność jest pośród nich straszna, niektórym udaje się przyczepienie się gdzieś, inni osiągają to przez podstęp lub gwałt i taka chmura ludzka, rodząca niepokoje, ciągnie dalej.

Nagłe zniszczenie urządzeń nawadniających sprowadza za sobą zwykle upadek jednej tylko oazy, nieszczęście nie rozprzestrzenia się na zbyt wielkie obszary. Mieszkańcy oazy porzucają swe siedziby i zamieszanie wzrasta z liczbą opuszczonych oaz. Wychodźcy w poszukiwaniu nowego kraju gromadzą się w coraz większe grupy. Nomadzi zaś, którzy już bardzo przywykli do „swego” ludu osiadłego nie są zadowoleni z tych ruchów, nie mogą oni egzystować bez rolników. Niepokój więc udziela się i nomadom — objaw to bardzo niebezpieczny.

Nomadzi nie opuszczają swych rolników, lecz stają na czele wychodźców, aby im przygotować nową ojczyznę, a syn stepu nie żartuje — żąda stanowczo, a gdy mu odmawiają, chwytą za broń, wygania obcych rolników z ich siedzib i osiedla tam swoich, poczem ciągnie dalej w stepy, aby i tam umocnić swe panowanie, gdyż potrzebuje pastwisk.

A gdy suchość klimatu utrzymuje się dalej t. j. gdy ilość wody spływająca z gór wciąż się zmniejsza, wówczas wyżej określone katastrofy następują jedna po drugiej. Podobnie rzecz się ma w obszarach prze-

ludnionych ze złą administracją. Wszędzie rojno i niepokojnie jeden przeszkadza drugiemu w spokojnej pracy, aż wreszcie rozpoczyna się prawdziwa wędrówka ludów.

W stepach już nie ma miejsca odpowiedniego, w długich niepokojach wyczerpały się środki żywności, nawodnienie ustaje działać, wioski są zniszczone i przeżony lud szuka w rozpaczycie ucieczki gdziebądź; te jednak można znaleźć już tylko w takiej okolicy, gdzie rolnictwo prowadzone jest bez sztucznego nawadniania.

I potok ludzki rzuca się ze stepów na obszary peryferyczne.

Najbliżej leżą Chiny Właściwe. Dopóki na obszarze tym nie było uporządkowanego ustroju państwowego, nie trudno było obszar ten zająć. Chińczycy sami przybyli do swej dzisiejszej ojczyzny w ten sposób; wiadomo, iż przybyli tu oni z oaz u północnych stóp Nanszanu. Najście ich podobne było do najścia Madziarów na nizinę Pannonji: nie wytepili oni napotkanych ludów, lecz osiedlili się pośród nich i uczyli ich sobie podwładniami.

Tutaj musimy wspomnieć o pewnej kwestji, która wprawdzie pozornie brzmi nieco paradoksalnie, ale którą historia potwierdza w sposób uderzający.

W stadjum kultury pierwotnej obszary nawadniane są zawsze najgęściej zaludnione, a ich mieszkańcy stoją na wyższym stopniu kultury, niż mieszkańcy obszarów, zdalnych do rolnictwa bez sztucznego nawadniania. Ognisko kultury w ciągu całej starożytności, a wyjąwszy Europę, i później, znajdowały się zawsze na obszarach sztucznego nawadniania. Egipt, Asyrja, Babilonja, Indje, Azja Mniejsza, Persja — wszystkie te kraje są obszarami sztucznego nawadniania, nawet w Ameryce, tam tylko mogła się rozwinąć wyższa kultura, gdzie ludzie zmuszeni byli używać sztucznego nawadniania: w Meksyku i Peru, na wyżynach bezodpływowych, przypominających azjatyckie. Czyż okoliczność ta nie jest zadziwiająca? Pola Rzymian i Greków były uprawiane również przy pomocy sztucznego nawadniania.

Nie może to być przypadkiem, że obszary sztucznego nawadniania odegrały tak wybitną rolę w dziejach kultury ludzkiej. Zdaje się, iż człowiek tam tylko był skłonny i zdolny do rozwoju kulturalnego, gdzie zmuszony był do pracy i walki; gdzie tylko przez wielkie napięcie swych sił umysłowych i fizycznych mógł sobie zdobyć środki utrzymania. Niejeden człowiek wtedy dopiero zaczyna pracować i zastanawiać się, gdy mu zaczyna brakować środków do życia.

Co się stosuje do jednostki, to i do całych ludów; łatwo to zrozumieć, jeżeli się weźmie pod uwagę, że tylko takie zrzeszenie jest zdolne do rozwoju, gdzie każdy członek zmuszony jest pracować na swe utrzymanie.

Wszystkie powyższe momenty razem wzięte za przyczynę, że mieszkańcy obszarów sztucznego nawadniania mogli osiągnąć wyższego stopnia rozwoju, aniżeli mieszkańcy dzdżystych obszarów peryferycznych, które umożliwiały łatwiejszy sposób życia. Trzeba tu zastrzedz, iż kwestja tyczy się pierwotnych stadjów kultury, gdyż w dzisiejszych stosunkach np. ludność Europy walczy równie ciężko o byt, jak mieszkańcy najgorszych stepów — w pierwszym razie walkę tę wywołuje przeludnienie.

Wróćmy jednak do wychodźców z oaz, którzy dążą do obszarów peryferycznych. Dopóki Chiny były zaludnione wyłącznie przez autochtonów, migracja nie napotykała tutaj znacznych trudności; gdy jednak ludy przybyły tutaj z obszarów sztucznego nawadniania, przyniosły ze sobą wyższą kulturę, powstała zapora

dla nowych inwazji. Chińczycy chronili się, podobnie jak Rzymianie od najścia narodów zapomocą wałów warownych. Podczas jednak, gdy wały rzymskie były sypane z ziemi, to Chińczycy wznosili mury, których szerokość pozwalała umieścić na nich nawet kawalerję. Podziwiamy zwykle wspaniałe obronne prace Rzymian, tymczasem o murze chińskim odzywamy się zwykle z lekceważącym uśmiechem jako o oznace tchórzostwa, a przecież ta wspaniała budowa miała zupełnie ten sam cel, co i wały rzymskie — ochronę obszarów kulturowych od najścia barbarzyńskich nomadów. A jednak mur chiński powstrzymał niejedno najście nomadów, którzy następnie zalewali Europę. Tak np. napad Mongołów, był falą odbitą od muru chińskiego, która zwróciła się ku Europie, gdzie nie było żadnych murów obronnych, a nawet uporządkowanego wojska.

Wędrowki ludów są bezwątpienia jednym z największych zjawisk dziejowych; niema, zdaje się, żadnego epokowego wypadku, któryby nie znajdował się w jakimś związku z niestałą równowagą obszarów bezodpływowych. Kultura Mezopotamji, jej oddziaływanie na dzieje Azji Zachodniej i krajów śródziemnomorskich, chwilowe zdobycze zapędy Persów, przybycie Indusów do ich obecnej ojczyzny, jak i wytworzenie się kast, przywędrowanie Chińczyków i wysoki rozwój ich kultury, całe dzieje Egiptu, biblijne wędrowki żydów i ich rozproszenie się, powstanie kultury greckiej, to jest przybycie do Grecji przodków ludu Helleńskiego, rozpadnięcie się państwa Rzymskiego, wielka wędrowka ludów, najście Hunnów i Awarów, przybycie Madziarów i Kumanów, najścia Mongołów, zwanych błędnie Tatarami, a zapewne i podboje Turków, bezwątpienia zaś światowe panowanie Arabów, zwłaszcza jego złota era w Hiszpanji (sztucznie nawadniane *huertus*) wysoka kultura amerykańskich Inków i Azteków — wszystko

to są wydarzenia największej historycznej doniosłości, które znajdują się w ścisłym związku ze sztucznym nawadnianiem.

W. Natkowski.

LIST DO REDAKCJI.

Szanowny Panie Redatorze!

Proszę o pomieszczenie w poczytnym piśmie Sz. Pana mojego poniższego protestu:

Napisałam cały szereg krytycznych artykułów o działalności bractw terejarskich u nas. W tymże czasie prasa katolicka drukowała kilka artykułów apologetycznych o tychże bractwach terejarskich.

W czasie, gdy się toczyła ta polemika, zrobiono rewizję bez żadnych wyników w klasztorze OO. Kapucynów w Nowem Mieście.

Wkrótce potem „Dziennik Powszechny“ w n-rze 247 pomieścił korespondencję anonimową z Opatowskiego, w której autor jej nazywa tę rewizję „skutkiem moich denuncjatorskich artykułów“.

Nie rozumiem, w jakim związku mogą być z sobą te dwa fakty i dla czego moje artykuły miały wywołać skutek taki, skoro działalność terejarskich bractw jest pół jawną i mogła nastręczyć powód do rewizji z zupełnie innych motywów. Zarzut denuncjacji przeciw mnie skierowany, uważam za tak potwornie niesłuszny, że z całym oburzeniem protestuję przeciw niemu.

Cała moja działalność dotychczasowa jest tego rodzaju, że można mnie umieścić raczej na liście denuncjowanych, niż denuncjujących kogokolwiek.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

St. Poraj.

Sekcja Humanistyczna Towarzystwa Kursów Naukowych w Warszawie

Z DNIEM 1 PAŹDZIERNIKA URZĄDZA

KOLLEGJUM HUMANISTYCZNE

T. K. N.

Celem jego jest przygotowanie słuchaczy i słuchaczek, przez uzupełnienie wykształcenia, pobieranego w szkole średniej, do owocniejszej i samodzielniejszej pracy w zakresie przedmiotów humanistycznych, dając tło i pokład ogólny do studjów specjalnych. Wykłady w Kollegjum będą odbywały się w godzinach przedpołudniowych i obejmą 26 godzin w tygodniu, z opłatą roczną w sumie rb. 100 za cały kurs. Przedmioty, objęte przez Kollegjum są następujące: 1. Fiziologia układu nerwowego i organ zmysł, jako wstęp do psychologii. 2. Ogólne zasady przyrodzon., jako wstęp do humanistyki. 3. Psychologii ogólnej. 4. Logika i teoria wiedzy. 5. Ogólne zasady językozn. 6. Orjentacyjny przegląd dziejów literatury powsz. 7. Krytyczny przegląd dziejów literatury ojczystej. 8. Syntetycznie-uogóln. przegląd dziejów powsz. 9. Historia Polski społeczna i polityczna. 10. Historia cywilizacji. 11. Ekonomia społeczna. 12. Nauka o państwie i prawie 13. Estetyka ogólna.

Zapisy i bliższe informacje w kancelarji Kursów Naukowych, Włodzimierska 3/5.

**TAPICER
KRZANOWSKI**

PRZERABIA MEBLE

i MATERACE

SZYJE POKROWCE

Aleja Jerozolimska 49.



PENSJONAT

dla kształcących się panien, warunki
hygieniczne.

Wiadomość w redakcji SPOŁECZENSTWA

Żórawia 29, m. 2.





Idealny pokarm —
— **dla niemowląt**
—
oraz dla osób dorosłych — chorych
na żołądek.

KURSY PEDAGOGICZNE

dla kobiet

pod
kierunkiem **JANA MŁKOWSKIEGO**
w WARSZAWIE

Kurs nauk trwa 3 lata i obejmuje działy: literacki i przyrodniczy. Zapisy, informacje i programy w kancelarii Kursów od 10—2 pp.

ulica Widok Nr. 16.

Wykłady 15 Września.

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!
SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE!
HERBATA z gór Harcu

(Dr. Lauer's Harzer Gebirgstee).

Zalecana przez najstojniejsze powagi lekarskie, zatwierdzona przez departament Med. przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu jest jedynym z niezbędnych środków dla utrzymania zdrowia. Napój przyjmowany w ilości 2—3 filiżanek tygodniowo, leczy, wyrzuty, liszaje uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, artretyzm, cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, grypy, cholery: **Cena pudełka 1 rb., 1/2 pudełka 50 kop.**

UWAGA: Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JÓZEF GROSSMAN. Warszawa, Śliska № 33a. Telefon 184-44.

Za miejscowym wysyłam za zaliczeniem od rb. 1 z odliczeniem na koszt przesyłki. Wystrzegać się falsyfikatów i podrabianych etykiet.

NAUCZYCIELKA

udziela lekcji, przygotowuje do szkół. Posiada języki: francuski i niemiecki. Adres: **Sienna 8, m. 14.**

Zostać można od g. 10 do 1-ej.



INSTYTUT WYCHOWAWCZO - NAUKOWY

D. ZYLBEROWEJ i E. LUBLINEROWEJ

dla dzieci małodolnych.

WARSZAWA, ulica Oboźna 4 (dawniej Sewerynow 5)

2-letnie
KURSY DLA WYCHOWAWCZYŃ
i nauczycielek początkowych

H. W. GRABOWSKIEJ
ERYWAŃSKA 4, w WARSZAWIE.

Pedagogika z psychologią i metodyka (p. Karpowicz), przyrodznaw. (p. Stefanowska), higiena (dr. Pawlikowski), śpiew, rysunek, roboty rącz., nauki ogólnokształc. Wykłady między 4 a 8 p. p., od 1 paźdz. Wpis 80 rb. rocz. Zapisywać się można na pojedyncze przedmioty. Informacje i zapisy od 15 września — Sw. Barbary 6 m, 7, od g. 3—4.

Wiadomości Graficzne

Tygodnik poświęcony sprawom zawodu graficznego

Organ Pracowników Graficznych w Królestwie Polskim

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie i na prowincji:	Za granicą:
Rocznie rb. 3, półrocznie rb. 1 kop. 50, kwartalnie kop. 75, miesięcznie kop. 25.	Rocznie 10 kor., 9 młk., 12 fr., 2 dol. Kwartalnie 2 kor., 50 hal., 2 młk., 25 fen., 3 fr., 0,05 dol.

Redakcja i Administracja: **ŻÓRAWIA 10 m. 39.**
Z dniem 8 października: **Hortensja 7 m. 11, 1 p.**



Telefon fabryki 44-66.
Firma istnieje od 1878 r.

Fabryka mebli żelaznych i wózków dzieciennych

I. NEUFELDA

WARSZAWA-PRAGA.



Telef magazynu 44-25.
Firma istnieje od 1878 r.

Fabryka: Praga-Brukowa 4. — Skład fabryczny z oddziałem pościelowym: Warszawa, Marszałkowska 122.

Wyroby fabryki: Meble żelazne: łóżka angielskiego i wiedeńskiego fasonów i zwyczajne, kołębki, umywalki, szafki nocne i t. d. Meble żelazne ogrodowe, wózki dziecięce i welocypedy, własnego pomysłu, siedzenia druciane do bryczek i linijek w zupełności zastępujące resory.

Fabryka dostarcza: wszelkiego rodzaju meble żelazne dla różnych Instytucyj: Szpitali, Hoteli, Koszar i t. d.